

Kapitalizm – reductio ad absurdum

31 sierpnia 2011

Dlaczego w powszechnej świadomości społecznej kapitalizm funkcjonuje jako jedyny sensowny system ekonomiczny, a inne pomysły nie są traktowane poważnie? Tadeusz Kowalik zastanawiając się, co skłoniło autorów polskiej transformacji do przyjęcia planu Balcerowicza bez żadnego oporu, chociaż świadomi byli jego destrukcyjnych konsekwencji, stwierdza, że było to wynikiem para-religijnej wiary w rynek. Pomimo istnienia alternatywnych propozycji, wygrały ostre cięcia wyrzucające na margines znaczną część polskiego społeczeństwa.[1]

Przedmiotem owej irracjonalnej i destrukcyjnej wiary jest – paradoksalnie – przeświadczenie o racjonalności i nieubłaganej naukowości kapitalizmu. W niniejszym tekście postaram się wykazać jego całkowitą fałszywość. Kapitalizm bowiem wcale nie zapewnia nam tego, co, jak się powszechnie uważa, jako jedyny jest w stanie zapewnić. Przyglądając się bliżej, w jaki sposób wypełnia on swoje obietnice, dochodzimy do wniosku, że nie tylko tego nie robi, ale wręcz uniemożliwia ich wypełnienie. Wykazanie, że z zasad kapitalistycznej racjonalności wypływa dokładnie odwrotność tego, czym uwodzi, stanowić będzie jego reductio ad absurdum.

Fakty, które będę przytaczać za tą tezą, są dobrze znane. Jednak „nieobalalna” oczywistość kapitalizmu oraz przekonanie o braku innej racjonalnej alternatywy nie pozwalają wykonać narzucającego się kroku myślowego i dostrzec, że efekty kapitalizmu stoją w całkowitej sprzeczności z obietnicami, jakie niesie. Niemożność zauważenia tego, co od dawna wiemy, nie jest wbrew pozorom niczym dziwnym – potrzebujemy jakoś uporządkować nasz świat, wierzyć, że to, co robimy, oparte jest na racjonalnych podstawach, więc kurczowo trzymamy się

„jedynej możliwej” alternatywy. Zatem żeby umożliwić dostrzeżenie nieracjonalności kapitalizmu, postaram się także zarysować model innej racjonalności, innego myślenia o człowieku i państwie.

Teza tego tekstu wykracza poza dobrze znane argumentacje przeciwko kapitalizmowi odwołujące się do solidarności czy współczucia wobec tych, których umieszcza on poza wspólnotą racjonalnych, przedsiębiorczych ludzi, którym zawsze się udaje. Nie chcę przez to bynajmniej podważać tamtych argumentów za porzuceniem kapitalizmu. Wydaje się jednak, że solidarność i współczucie nie mogą wygrać z racjonalnością. „Owszem, mówi się, dobrze by było, żeby starczyło wszystkiego dla wszystkich, nam też się serce kraje, jak patrzymy na głodne dzieci. Ale tego po prostu nie da się zrobić, nie ma ucieczki od nieubłaganej logiki ekonomicznych praw i trzeba się z tym pogodzić”. Żeby obalić kapitalizm trzeba pokonać go na jego własnym polu i wykazać jego nieracjonalność, co okazuje się prostsze niż mogłoby się wydawać, jak już uda nam się otworzyć oczy i w końcu zobaczyć, to, co tak naprawdę widzieliśmy od dawna.

Jakie są źródła przekonania o racjonalności kapitalizmu? Przede wszystkim wiara w ekonomię jako naukę oraz błędne pojmowanie nauki w ogóle jako dostarczycielki niepodważalnych prawd. Czytamy co pewien czas o tym, że naukowcy odrzucili właśnie jakąś starą teorię, wiemy, że dawniej uznawano teorie z naszego punktu widzenia całkowicie fałszywe, ale pomimo to usilnie wierzymy, że to tylko dlatego, że oni byli nie dość racjonalni – nawet jeśli ci „oni”, to tylko my sprzed pół roku.

Zauroczenie naukowymi równaniami wypływa z niezrozumienia, czym jest matematyczne modelowanie. Owszem, matematyczne wzory pozwalają nam wiele rzeczy obliczyć, ale same nie określają przecież, co tak naprawdę liczymy, co w realnym świecie odpowiada matematycznym formułom. Kwestia wyboru takiego a nie innego opisu matematycznego nie jest determinowana przez sam

ten opis – ani też żaden inny. Taki wybór nie opiera się na „nieubłaganej” naukowej logice, a racjonalność samych formuł nie daje nam żadnych gwarancji, że racjonalnie wybraliśmy kontekst ich zastosowania. Dlatego, jak wiadomo, teorii ekonomicznych jest wiele, jednak nie przeszkadza to zwolennikom kapitalistycznej racjonalności w przytaczaniu argumentów typu „ekonomiści twierdzą...” czy „zgodnie z prawami ekonomii...” Jakiej ekonomii? Jakimi prawami? Którzy ekonomiści?

Poza tym matematyczne modele, jak wiemy, są abstrakcyjne, co oznacza, że znacznie upraszczają one opisywane problemy. Abstrahowanie pozwala stworzyć prosty i zrozumiały model umożliwiający precyzyjne obliczenia. Trzeba jednak być świadomym, że pominięcie pewnych aspektów badanej rzeczywistości może sprawić, że wyniki naszych obliczeń będą do niej przystawały jedynie „mniej więcej” prowadząc do błędnych przewidywań. To, na ile i od czego można abstrahować, żeby teoria nie odbiegała zanadto od rzeczywistości, również nie jest określane przez samą teorię. Takie decyzje muszą podejmować naukowcy i bynajmniej nie są w tym zgodni. Są one zależne także od tego, na ile dany badacz jest ideologicznie czy emocjonalnie przywiązany do danej teorii, na ile jej założenia są zgodne z jego światopoglądem.

Jednak z całą pewnością: im bardziej skomplikowane, wieloaspektowe zjawisko, tym trudniej je matematycznie opisać. Fizyka newtonowska operująca bezwymiarowymi punktami sprawdza się bardzo dobrze jako opis ruchu kul bilardowych. Ale już na matematycznych modelach prognozujących pogodę można opierać się jedynie w ograniczony sposób, zaś prognozy dłuższe niż kilkudniowe sprawdzają się bardzo rzadko. Wydaje się, że światowy, czy choćby tylko państwowy, system gospodarczy jest obiektem nieporównanie bardziej skomplikowanym niż pogoda, jednak – całkowicie nieracjonalnie – w tej sferze uznajemy, że można wskazać takie modele jego opisu, których adekwatność jest niepodważalna i w imię wyliczonych na ich gruncie konsekwencji można podejmować decyzje, które z całą pewnością

zniszczą życie wielu osób.

Jednak wiara w naukowość kapitalistycznej ekonomii nie jest jedynym fundamentem przekonania o jego racjonalności. Istotną rolę odgrywają tutaj także założenia dotyczące natury istot ludzkich. Przyjmuje się bowiem, że jest to jedyny system, który umożliwia rozwój ludzkiej podmiotowości dając jednostkom wolność wyboru i wspierając indywidualną inicjatywę. Pozostawienie wolności wyboru zarówno producentom jak i nabywcom doprowadzi do tego, że każdy (może z wyjątkiem leniwych i niezaradnych...) będzie miał to, czego potrzebuje. Żaden państwowy, odgórny plan nie będzie narzucał, co ma być produkowane i co kto ma kupować – a my przecież wiemy, jak takie próby się kończą! Co więcej, zdrowa konkurencja zapewni, że będzie to towar możliwie najlepszy – czyż nie pamiętamy, jakie buble produkowało się w PRL?

Po drugie, twierdzi się, że kapitalizm to jedyny system umożliwiający sprawiedliwy podział dóbr, w którym każdy dostanie tyle, ile sobie wypracował. Wszelkie próby redystrybucji są tak naprawdę kradzieżą a podział tego, co państwo „zagrabiło” pobierając podatki, opiera się wyłącznie na arbitralnym widzimisię danego rządu szantażowanego przez różnorakie grupy interesu – nie istnieją i nie mogą istnieć reguły pozwalające racjonalnie taki podział uzasadnić.

Zajmijmy się najpierw pierwszą z tych tez. Kapitalizm jako źródło wolności i rozwoju podmiotowości? Wystarczy wprost napisać takie zdanie, by ogarnął nas pusty śmiech. Kto jest wolny w kapitalizmie? Na pewno nie ci, którzy pracują za głodowe stawki, albo zmuszeni są pracować w warunkach szkodliwych dla zdrowia. Więc może przynajmniej ci bogaci? Ale czyż oni nie żyją w ciągłym lęku, że stracą swoje pieniądze a wraz z nimi przynależność do klasy tych, którym się udało – lepszych? Chronione osiedla i opancerzone samochody nie są chyba dokładnie tym, co rozumiemy przez wolność? Widmo biedy krąży nad kapitalizmem: czy będzie to groźba głodu, czy też – dla niektórych równoznaczna ze śmiercią cywilną – groźba

wykluczenia z uprzywilejowanej grupy wskutek konieczności sprzedania luksusowego jachtu. Jedni i drudzy są przeliczani na pieniądze – Bill Gates jest wart nieporównanie więcej niż zwykły robotnik, ale waluta jest ta sama. Kapitalizm ze swoim kultem opłacalności nie pozwala by ktokolwiek był traktowany jako człowiek sam dla siebie – jako cel, a nie środek. Osobisty rozwój? Coś mogą na ten temat powiedzieć ci, którzy wybrali studia kierując się własnymi zainteresowaniami i chęcią prowadzenia życia pełnego sensu. W kapitalizmie to rynek decyduje, w którą stronę możesz się rozwijać, a folgując jakimkolwiek innym nieopłacalnym fanaberiom po prostu wypadasz z gry. Oczywiście możesz decydować o swoim życiu, jak tylko zechcesz, ale zastanów się lepiej, czy potem nie umrzesz z głodu. Sterowane przez rynek jednostki nie mają zatem nic wspólnego z autonomicznymi, wolnymi podmiotami. Kapitalizm uprzedmiotawia także tych, którzy poddają się jego racjonalności i w nagrodę przez jakiś czas mogą pociągać za sznurki. Ich wolność również jest pozorna.

Jeśli racjonalne jest tylko to, co da się przeliczyć na pieniądze, to – jak bardzo dobrze wiemy – upada kultura. Zamieniona na towar, staje się bezwartościowym buble i przestaje spełniać swoje podstawowe funkcje. Zamiast dostarczać jednostkom nowych sposobów rozumienia siebie i świata czy form dla ekspresji własnych uczuć, oferuje im jedynie stereotypowe, wyprane z wszelkich pomysłów błyskotki pop. Imitacje autentycznej twórczości. Bo autentyczność zostaje zabita dokładnie w momencie, gdy zamiast o przekazie zaczynamy myśleć o targacie. Gdy zaczynamy „racjonalnie” wstrzeliwać się w rynek idei.

Ostatnie wyrażenie – rynek idei – jest w ogóle oksymoronem. Kapitalizm zabija bowiem również naukę. I nie chodzi tylko o to, że jej celem jest poznawanie świata, a instrumentalizacja naukowej ciekawości i ograniczenie jej wymogami opłacalności uniemożliwia realizowanie tego celu. Nie chodzi tylko o to, że nigdy nie wiemy, jakie pomysły okażą się płodne czy użyteczne,

a twórczego myślenia nie da się zaplanować i przykroić pod dyktando przedsiębiorców poszukujących szybkiego i pewnego zysku. Nie jest to tylko kwestia niemożliwości przewidzenia, które kierunki badań okażą się lepsze – kapitalistyczna walka o zysk często sprawia, że lepsze i tańsze rozwiązanie nie może zostać przyjęte, bo nie dopuszczają do tego ci, którym droższe i gorsze się opłaca. Przykładem jest opowiedziana przez Deborę Rhodes historia urządzenia, które jest dużo lepsze w diagnostyce raka piersi niż dotychczas stosowane metody, a do tego nieporównanie tańsze. Jednak recenzenci opłacani przez firmy zarabiające na droższych urządzeniach odrzucali artykuł opisujący nowy pomysł utrudniając zdobycie funduszy na rozwój lepszej i tańszej technologii.[2]

Kapitalizm jest zasadniczo sprzeczny z nauką, jeśli przyjmiemy, że jej podstawą jest prawda. W „racjonalnym” dążeniu do wzbogacenia się nikt przecież nie zawraca sobie głowy takimi idealistycznymi bzdurami! I nikt też nie oczekuje, że inni będą prawdomówni. Rację ma ten, kto wygrał: kto więcej sprzedał, więcej zarobił – jeśli przy tym oszukał innych, to znaczy, że jest sprytny, skoro mu uwierzyli. Kapitalistyczny stosunek do prawdy najlepiej pokazuje reklama. Nikt przy zdrowych zmysłach nie twierdziłby, że jest ona źródłem rzetelnej wiedzy o produkcie. Tomy napisano o manipulacjach, na jakich się opiera. A jednak to ona przecież jest główną podstawą naszych konsumenckich wyborów! Wbrew wszelkiej racjonalności wierzymy, że oparta na reklamie konkurencja może być racjonalna i że wygra w niej najlepszy produkt! Wiemy, że w świecie reklamy najważniejsze fakty są przed nami ukrywane, że jesteśmy oszukiwani na nieskończenie wiele sposobów, ale nie wyciągamy z tego wniosków, że kapitalistyczna wolność wyboru jest całkowitą ułudą. Czyżbyśmy nie wiedzieli, że warunkiem racjonalnej decyzji jest posiadanie pełnej i niezafałszowanej informacji?

Czy trzeba dodawać, że kapitalizm jest również sprzeczny z etyką? Chyba tak, skoro szermuje on nieustannie etycznymi

odwołaniami do wolności i autonomii pracownitej jednostki. Jeśli jednak rację (i jednocześnie dowód na błogosławieństwo kapitalistycznego boga) ma ten, kto wygrał, to jak niby mielibyśmy uzasadnić godziwe opłacanie pracowników, skoro konkurencja tego nie robi? Po co w ogóle płacić temu, komu nie musimy płacić, bo np. mamy go obietnicą etatu czy choćby umowy po skończeniu niekończących się „praktyk”? Kompletnie nieracjonalne jest także respektowanie praw tych, którzy nie są w stanie się o nie upomnieć – konkurencja natychmiast to wykorzysta! Po co przejmować się toksycznymi odpadami, skoro istnieją ludzie tak biedni, że posprzątają je za grosze? Po co myśleć o przyszłych pokoleniach, skoro naszym celem i jedyną wartością jest zarobienie jak największych pieniędzy tu i teraz? Czy trzeba przekonywać o niszczycielskich skutkach myślenia w terminach opłacalności dla ziemi jako ekosystemu?

Kapitalizm zatem sprzedaje się jako ostoja wolności i niezależnej podmiotowości jednocześnie odbierając wolność i podmiotowość uprzedmiotowionym i wycenionym jednostkom zmuszonym do nieustannej rywalizacji, destrukcyjnej dla nich samych i dla całej planety. Opierając się na swojej marce „naukowej” racjonalności, kapitalizm niszczy naukę i kulturę, niszczy w ludziach zdolność krytycznego i twórczego myślenia, którego istotną cechą jest nieprzewidywalność i niezależność od zewnętrznych nacisków opłacalności. Trąbiąc o wolnym wyborze, kapitalizm uniemożliwia go sankcjonując jako podstawę racjonalnej konkurencji reklamowe manipulacje. Chociaż udaje, że jednostki i ich wolność jest tym, co chce chronić, kapitalizm racjonalizuje wyzysk i łamanie praw najsłabszych.

Przyjrzyjmy się teraz drugiemu argumentowi za racjonalnością kapitalizmu – że jest on najlepszym i jedynym sprawiedliwym systemem podziału dóbr. Jak inaczej mielibyśmy je dzielić? Dlaczego oddać decyzje w tej sprawie skorumpowanym, pazernym i często zwyczajnie głupim politykom, których jedyną motywacją jest utrzymanie się na stołku? Czy sami ludzie nie załatwią tego lepiej?

Zauważmy, że „ludzie” w tego rodzaju argumentacji przeciwstawieni są politykom, zakłada się więc milcząco, że w odróżnieniu od nich nie bywają oni głupi ani pazerni. Skorumpowani za to z całą pewnością nie są, ponieważ w ich wypadku dbanie o własne profity nie jest korupcją, ale ich świętym prawem i jednocześnie obowiązkiem zalecanym przez kapitalistyczny system wartości. Dlaczego uważamy, że ci, którzy dbają o swój interes otwarcie, lepiej urządzają świat niż ci, którzy przynajmniej muszą udawać, że dbają o dobro ogółu, a za zbyt jaskrawe występowanie przeciwko tej zasadzie grożą im jednak konsekwencje karne? Tym bardziej, że owi „ludzie”, którzy przejmą – i już zresztą to robią – funkcję polityków, to bynajmniej nie zwykłe szaraki, lecz szefowie wielkich korporacji. Czy naprawdę przekazanie im kompetencji polityków zmieni nasz świat na lepsze? Wydaje się, że nikt nie ma co do tego wątpliwości – czytamy na co dzień o tym, jak wielkie korporacje powodują katastrofy ekologiczne, doprowadzają ludzi do samobójstwa czy niszczą ekonomicznie całe regiony. A jednak nie cichną argumenty, że mamy za dużo państwa, podatki powinny być zmniejszone, a przedsiębiorcy powinni dostać specjalne ulgi – czyż owi zyskujący na tym „przedsiębiorcy” nie okażą się koniec końców wolnymi od wszelkiej etyki i pięknymi w swej bezwzględnej, racjonalnej sile korporacjami?

No dobrze – ale jakie jest inne wyjście? Zwróćmy uwagę, że poprzedni akapit ukazuje nam pewien paradoks: politycy są jedynymi ludźmi w systemie kapitalistycznym, od których wymagamy, aby przedkładali dobro ogółu ponad swoje własne. Dlaczego dziwi nas, że jednak w ogromnej większości starają się zminimalizować konsekwencje tego nakazu i uszczknąć dla siebie, ile tylko się da, korzystając z sytuacji tak, jak zaleca kapitalistyczny nakaz bogacenia się? Może więc odrzucenie tego nakazu, zmiana dominującej ideologii wmawiającej nam, że racjonalne jest to, co przynosi zysk, wpłynęłoby też na polityków? Nie musieliby wtedy tak drastycznie odstawać od reszty społeczeństwa. Gdyby ponadto zlikwidować związek kapitału z polityką – sponsorowanie

kampanii, ale także znaczne odbieganie płac polityków od średniej krajowej – to może do polityki szliby ci, którzy naprawdę chcą pracować dla dobra ogółu, a nie jedynie się dorobić?

Ale czy przekonanie, że ktokolwiek chciałby tak naprawdę dbać o dobro ogółu, a nie swoje własne interesy, nie jest idealistycznym złudzeniem? Czyż nie wiemy, że człowiek człowiekowi wilkiem, a jedyną autentyczną ludzką motywacją jest egoistyczna chęć bogacenia się? Na takiej antropologii opiera się kapitalizm – jednocześnie ją zakładając i umacniając, bo ci, którzy do niej nie pasują, zwyczajnie w kapitalizmie nie przetrwają. Zaś wszyscy inni, skutecznie oduczeni altruizmu na lekcjach kapitalistycznej racjonalności, będą potem tylko od czasu do czasu narzekać na zatomizowane społeczeństwo, ludzką interesowność i niemożność znalezienia sensu w materialistycznym świecie, na co dzień przyjmując oczywiście jedyną słuszną racjonalność.

Nie, tęsknota za tym, żeby na świecie liczyło się coś więcej niż kasa, nie jest bynajmniej elitarną cechą nielicznych świętych odbiegających od normalnego, egoistycznego wzorca osobnika naszego gatunku. Psychologia i socjologia od dawna pokazują, że jesteśmy istotami społecznymi i inni są nam niezbędni, abyśmy mogli być ludźmi. Relacje z innymi nas współtworzą a bez poczucia przynależności do różnych grup, bez możliwości dzielenia swoich doświadczeń – po prostu nie istniejemy. Niemowlę pozbawione kontaktu z ludźmi nie stanie się w pełni człowiekiem, a rozbitek na bezludnej wyspie ratuje się dialogiem z wyobrażonymi innymi. Kapitalizm zwyczajnie opiera się na fałszywej antropologii zakładającej autonomiczność jednostki i nie uwzględniającej jej społecznych potrzeb.

Spróbujmy zatem je uwzględnić. Jaka racjonalność mogłaby się wyłonić po odrzuceniu indywidualistycznej antropologii? Przede wszystkim dla istot społecznych kluczowe jest dbanie o jakość ich relacji z innymi, o dobro rozmaitych grup, do których

przynależą i które dają im uznanie i poczucie własnej wartości, które współtworzą ich tożsamość. Co z tego, że ja się wzbogacę, jeśli moi przyjaciele, znajomi czy współobywatele przez to zbiednieją? Czy rzeczywiście dążenie do zysku kosztem innych jest racjonalne, jeśli jednocześnie niszczy przynależności i relacje, od których zależy moje człowieczeństwo? Jaki sens ma zbijanie fortuny, które zniszczy przyszłość następnych pokoleń – naszych dzieci, które są naszą przyszłością? Czy możemy cieszyć się bogactwem, które kosztowało zdrowie lub życie wielu ludzi, nawet jeśli to tylko nieznani nam „oni” z dalekich krajów? Odpowiedzi na te pytania są oczywiste. Problem polega na tym, że nigdy ich nie zadajemy, bo nie są to uprawnione pytania na gruncie kapitalistycznej racjonalności. Takich czynników w racjonalnych kalkulacjach po prostu się nie uwzględnia.

Dobro ogółu – brzmi pięknie! Ale – zapytają zaraz krytycy – kto niby miałby je ustalać? Przecież wiemy, jak to się kończy, gdy jednostce odbierze się autonomię w imię narodu czy na przykład proletariatu! Takie myślenie zakłada, że mamy tu do czynienia z alternatywą: albo ważne są jednostki, albo grupy czy społeczeństwa. Wbrew pozorom nie jest to jednak sytuacja zerojedynkowa i wcale nie musimy wybierać. Jednostki rozwijają się dzięki przynależności do grup, zaś atmosfera w grupach i ich przetrwanie zależy od tego, czy jednostki dobrze się w nich czują. Nie musimy myśleć o grupach jako narzuconych z góry, genetycznych wspólnotach krwi, z których nie ma wyjścia. Żyjemy w świecie, w którym rozmaite przynależności bywają przededefiniowywane na najbardziej nieoczekiwane sposoby i nic nie stoi na przeszkodzie, by na przykład pożenić islam z punkiem.[3] Globalizacja pozwala jednostkom przekształcać własną tożsamość czerpiąc z najrozmaitszych wzorców i kultur, co zmniejsza jej zależność od grup, w jakich się urodziła.

Jeśli zatem w świecie coraz lepszego przepływu informacji przetrwają tylko takie grupy, do których jednostki będą chciały należeć, to muszą one uwzględniać potrzeby jednostek

tak samo, jak jednostki należące do grup muszą dbać o dobro wspólne. Jak zatem je ustalimy? To proste: wspólnie. Tak jak dotąd, tylko lepiej. Kapitalistyczny świat nie doprowadził się bowiem jeszcze do samozagłady tylko dlatego, że nie jest w pełni kapitalistyczny i wbrew dominującej racjonalności istnieją wciąż ludzie, dla których opłacalność nie jest jedyną i najwyższą wartością. Bo mimo wszystko domagamy się od naszych rządów, by dbały o dobro wspólne, chociaż jest to sprzeczne z logiką systemu, który akceptujemy jako jedyny możliwy.

Tym, czego potrzebujemy, jest zatem zmiana sposobu myślenia, powszechne uznanie wartości dbania o dobro ogółu i odrzucenie racjonalności, dla której opłacalność jest jedyną liczącą się wartością. Jeśli przyjmiemy, że nasz świat, kraj czy miasto jest wspólną własnością wszystkich zamieszkujących go ludzi, to potrzeby innych przestaną być naganną „postawą roszczeniową”, ale możliwa będzie demokratyczna dyskusja nad tym, jaki podział dóbr jest najbardziej sprawiedliwy. Ona i tak się toczy, chociaż na gruncie założeń kapitalistycznej racjonalności zamiast dyskusji przypomina raczej wyrywanie sobie skąpej kołdry. Żeby za społecznymi żądaniami dostrzec realne potrzeby, a nie egoistyczną próbę odebrania nam naszej części tortu, musimy widzieć w innych część naszej wspólnoty, a nie konkurentów w walce wszystkich ze wszystkimi.

Oczywiście znajdą się ludzie, którzy taką dyskusją będą chcieli manipulować wyolbrzymiając swoje potrzeby, minimalizując cudze, czy nierzetelnie przedstawiając dostępne rozwiązania. Dlatego podstawą demokratycznych sporów i dyskusji musi być oczywiście wiarygodna informacja – o tym, co tak naprawdę posiadamy, jakie są możliwości wykorzystania zasobów i umiejętności różnych ludzi, czy jaki ekonomiczny model najlepiej opisuje naszą rzeczywistość. Zamiast kapitalistycznej manipulacji i półprawd w imię racjonalności zysku, potrzebne jest zatem wzajemne etyczne zobowiązanie do prawdomówności i rzetelności. Niepoprawna utopia? Wcale nie.

Tego rodzaju idealizm możemy od dawna obserwować na żywo. Jak zwraca uwagę Michael Polanyi, nauka jest przedsięwzięciem zbiorowym opartym na takim właśnie etycznym zobowiązaniu, gdyż każdy naukowiec musi w swojej pracy opierać się na wynikach wielu innych badaczy. Bez opartego na solidnych podstawach wzajemnego zaufania nauka byłaby niemożliwa. Zobowiązanie to jest jednak na ogół przestrzegane, a nauka jako całość posuwa się do przodu, ponieważ każdy naukowiec ręczy samym sobą za przedstawione wyniki – stawką jest jego reputacja, jego przynależność do naukowej społeczności. Pewne zaburzenia do tego systemu wprowadza, jak widzieliśmy wyżej, racjonalność zysku. Na pewno swoją rolę odgrywają też ludzkie przywary takie jak pycha czy chora ambicja. Ale jeśli mimo wszystko nie uniemożliwiają one nauki jako całości w systemie wartości zalecającym egoistyczny wyścig szczurów, to społeczne wsparcie dla racjonalności dobra wspólnego powinno tylko poprawić tę sytuację. Jeśli do tego jeszcze wyeliminujemy naciski kapitału finansując naukę ze wspólnych funduszy, to powinna nam ona zapewnić całkiem niezłe podstawy do zdefiniowania dobra wspólnego i najlepszych możliwych sposobów podziału dostępnych zasobów.

Polanyi pisał, że społeczność naukowców oparta na wzajemnym zaufaniu i umożliwiającej samorozwój twórczej aktywności jest najlepszym przykładem wolnego społeczeństwa. W poszukiwaniu alternatywnej racjonalności trafiamy zatem na powrót do nauki. Jednak w przeciwieństwie do nauki, na której kapitalizm chce oprzeć swoją bezalternatywną racjonalność, jest ona tutaj rozumiana jako pole ciągłej dyskusji, a nie źródło nieobalalnych wyroków. Zatem tym, czego potrzebujemy do ustalenia dobra wspólnego, jest możliwość otwartej dyskusji, w której każdy może przedstawić swój punkt widzenia – dobrze znany, demokratyczny ideał. Moderatorami takiej dyskusji powinny być instytucje niezależnych naukowców przedstawiających i oceniających dostępne rozwiązania. Zauważmy, że na różnego rodzaju ekspertach opieramy się także teraz, ale w kapitalistycznej racjonalności zysku nie możemy

ufać, że mówią oni prawdę. Opłacanie naukowców przez rozmaite firmy czy grupy nacisku nie jest obecnie bowiem uważane za coś zdołnego, zagrażającego ich bezstronnemu osądowi, ale wręcz przeciwnie – jest to dowód ich racjonalnego odnajdywania się w rynkowej rzeczywistości! Skoro ktoś za pewne tezy płaci, to znaczy, że są one wartościowe – myślimy, chociaż w oczywisty sposób naukowiec powinien tracić wszelką wiarygodność w momencie, gdy zaczyna pracować dla podmiotu dbającego tylko o własny zysk, a nie o dobro wspólne.

Ale żeby można było naprawdę mówić o dobru wspólnym, potrzebne jest poczucie przynależności, które niemożliwe jest bez kultury i bez innego rodzaju naukowców – humanistów, dla których kapitalistyczna racjonalność nie przewiduje zajęcia innego niż copywriter. Ludzi, którzy będą umieli słuchać różnego rodzaju wykluczonych i pomóc im wyartykułować własne stanowisko, którzy będą potrafili łączyć w całość pozornie wykluczające się tożsamości i rozwijając swoją podmiotowość, pomagać w rozwoju innym. I w ten sposób tworzyć społeczeństwo jednostek wolnych i niezależnych, bo zakorzenionych w różnorodnych wspólnotach, a nie niszczących się w egoistycznej walce i bezwzględnej konkurencji. Z całą pewnością nie jest to możliwe w oparciu o kapitalistyczną racjonalność zysku.

Autor: Małgorzata Maciejewska

Źródło: [Lewica](http://lewica.pl)

PRZYPISY

[1] T. Kowalik, „Niespodzianki są możliwe”, <http://lewica.pl/index.php?id=21609>

[2] http://www.ted.com/talks/deborah_rhodes.html

[3] <http://www.taqwacore.com/>